

# GROZI NAM POWTÓRKA Z POLSKI GIERKA

Z prof. Stanisławem Gomułką, głównym ekonomistą Business Centre Club i konsultantem MFW, o niedotrzymywaniu obietnic, marionetkowej Narodowej Radzie Rozwoju, nadmiernym fiskalizmie, obniżeniu wieku emerytalnego, przewadze konsumpcji nad inwestycjami oraz pułapce średniego dochodu rozmawia Stanisław Lejda



- Kiedy Prawo i Sprawiedliwość obejmowało władzę, niemal wszyscy ekonomiści byli zgodni: polityka tej partii zrujnuje gospodarkę. Przeważała opinia, że budżet państwa załamie się już w 2016 roku. Tymczasem rządzący, przywołując dane GUS, dowodzą, że gospodarka ma się dobrze, rozwija się w tempie około czteroprocentowym, bezrobocie jest najniższe od początku reformy ustrojowej, a deficyt budżetowy – wbrew obawom wielu autorytetów – niższy od zakładanego. Mimo to krytyka polityki gospodarczej rządu nie ustaje. Jaka jest zatem prawda o kondycji finansowej państwa, bo laik ekonomiczny, jakim jest przeciętny Polak, słysząc tak skrajne oceny, może się czuć zagubiony?

- „Rzeczpospolita” drukuje właśnie w odcinkach (*rozmowę przeprowadzono 25 września 2017 – Red.*) moje opracowanie, w którym m.in. staram się wyjaśnić, skąd bierze się sukces rządu premier Beaty Szydło w stosunku do przewidywań ekonomistów, jakie pojawiły się w okresie wyborczym. Jeśli chodzi o finanse publiczne, wynika on przede wszystkim stąd, że obecny rząd nie zrealizował, jak zamierzał, dwu bardzo kosztownych reform, mogących mocno obciążać finanse publiczne, oraz przesunął w czasie o dwa lata powrót do wcześniejszego wieku emerytalnego. Zrezygnowano z pod-

wyżki kwoty wolnej od podatku dla wszystkich, podwyższono ją jedynie dla ludzi stosunkowo mało zarabiających. Osobom zamożnym ulgę podatkową nawet zmniejszono, w rezultacie to posunięcie oznacza praktycznie zerowy dodatkowy wydatek w finansach publicznych. Gdyby wprowadzono – jak zapowiadano – podwyższenie kwoty wolnej od podatku dla wszystkich pracujących, kosztowałoby to budżet około 20 miliardów złotych rocznie. To ogromna różnica.

- Prezydent Andrzej Duda i PiS w kampanii wyborczej zapowiadali też pomoc frankowiczom...

- I to jest druga ważna zmiana stanowiska rządzących: nie przewalutowali kredytów we frankach. W tej sprawie mieliśmy ekspertyzy

Komisji Nadzoru Finansowego wskazujące, że potencjalny koszt tej operacji dla systemu bankowego i finansów publicznych wyniósłby prawdopodobnie kilkadziesiąt, raczej sporo ponad 40 miliardów złotych. A to oznaczałoby nawet ryzyko bankructwa kilku banków. Z tym zaś oczywiście wiązałoby się zagrożenie wycofania z banków części depozytów, co spowodowałoby znaczne zmniejszenie możliwości kredytowania gospodarki przez cały system bankowy. Ta obietnica była najniebezpieczniejsza dla gospodarki.

*- I dlatego Andrzej Duda się z niej wycofał? To była jedna z jego głównych obietnic przedwyborczych.*

- Sądzę, że dlatego. Prezydent oraz jego ministrowie przeprowadzili ze mną kilka rozmów na ten temat. Byli bardzo zaniepokojeni tym, że proponuję rezygnację z tej reformy, ponieważ stanowiła jedną z przedwyborczych zapowiedzi. Wszyscy jednak uznaliśmy, że były to raczej obietnice wynikające z programu PiS. Andrzej Duda wprawdzie pierwszy mówił o nich publicznie, ale jedynie dlatego, że najpierw były wybory prezydenckie, a później parlamentarne.

*- Zasiada pan w Narodowej Radzie Rozwoju przy prezydencji. Czy Andrzej Duda słucha opinii członków tej rady? Można spotkać opinie, że to ciało marionetkowe.*

- Ono jest marionetkowe i przeważnie nie zajmuje się poważnymi problemami, gdyż prezydent nie ma mandatu do ingerowania w politykę gospodarczą. Ale kilkoma sprawami Andrzej Duda musiał się zajmować, ponieważ poparł propozycje Prawa i Sprawiedliwości w swojej kampanii prezydenckiej.

*- Prezydent ma prawo weta i może zablokować złe ustawy – także te dotyczące gospodarki.*

- Ma takie prawo, ale nie wetowałaby ustawy realizującej jego obietnice złożone podczas kampanii wyborczej. W moich rozmowach z prezydentem i jego administracją chodziło przede wszystkim o to, czy należy wycofać się z tej obietnicy, a nie o to, żeby cokolwiek wetować. W tej sprawie byłem też w kontakcie z rządem i bardzo nalegałem, żeby zrezygnować z przewalutowania kredytów frankowych. Nie dyskutowałem na ten temat z Jarosławem Kaczyńskim, ale inne osoby, z którymi rozmawiałem, były w kontakcie z prezesem PiS, i on w końcu publicznie zgodził się, że potrzebne jest wycofanie się z tej obietnicy.

*- Rezygnacji z tego pomysłu pomogło też wzmocnienie się złotówki wobec innych walut,*

*w tym franka szwajcarskiego. Wyraźnie widać, że w tej chwili zelżał nacisk frankowiczów na przewalutowanie ich kredytów.*

- Tak jest dzisiaj, ale rozmowy, o których mówię, toczyły się w ubiegłym roku, a wtedy złoty był stosunkowo słaby. I nie było wiadomo, jaki będzie jego kurs w przyszłości. Wówczas chodziło o sprawę bardziej zasadniczą: jakie mogą być konsekwencje przewalutowania tych pożyczek. We wspomnianych rozmowach z prezydentem i jego ministrami oraz przedstawicielami partii rządzącej bardzo mocno podkreślałem, że gdyby doszło do bankructwa chociażby jednego banku mocno zaangażowanego w kredyty frankowe, powstałby ogromny problem dla jego depozytariuszy. Mówię, rzecz jasna, o dużych oszczędnościach, gdyż osoby lokujące w bankach pieniądze o wartości do 100 tysięcy euro są chronione przez Bankowy Fundusz Gwarancyjny. Ale to również oznaczałoby duży wydatek – trzeba by z owego funduszu uruchomić spore środki na pokrycie strat depozytariuszy mieszczących się w gwarantowanym limicie. Natomiast osoby znacznie bogatsze bankructwo nawet jednego banku mogłoby zachęcić do wycofywania swoich pieniędzy z polskiego systemu bankowego i przesyłania ich za granicę. Uświadomienie politykom tej możliwości było zatem niezmiernie ważne i odniosłem wrażenie, że takiej możliwości nie przewidywali.

*- Trochę to dziwne, bo w czasopiśmie ekonomicznym już wtedy wskazywano banki – m.in. Getin Noble Bank, Bank Millennium i kilka innych – które po przewalutowaniu kredytów frankowych mogłyby zbankrutować.*

- Chciałem przede wszystkim uświadomić rządzącym, że bankructwo jednego czy dwóch banków, jakie pan wymienił (my oczywiście wiedzieliśmy, które z nich są mocno zagrożone), może wywołać panikę wśród depozytariuszy. A depozyty bankowe gospodarstw domowych wynoszą już ponad 600 miliardów złotych. Nawet gdyby 10-20 proc. tej sumy wycofano z systemu bankowego, stanowiłoby to ogromne uderzenie w cały system kredytowania gospodarki. Przecież banki udzielają kredytów jedynie w oparciu o własne depozyty. Jeżeli one znacząco się skurczą, system bankowy – niejako automatycznie – powinien albo zwiększać kapitały własne, albo ograniczyć kredytowanie. Taka sytuacja w końcu zmusiłaby banki do podwyższania opłat, zwłaszcza marż kredytowych w rezultacie wzrostu rynkowych stóp procentowych, nawet gdyby Rada Polityki Pieniężnej obniżała stopy procentowe NBP. Banki komer-

cyjne mają bowiem swobodę kształtowania swoich marż. Jeśli muszą zmniejszyć kredytowanie, zwykle robią to podwyższając marże. Wydaje mi się, że uzmysłowienie tych potencjalnych zagrożeń zarówno prezydentowi, jak i rządowi, a także Jarosławowi Kaczyńskiemu, odegrało istotną rolę w ich decyzji, by z tej wyborczej obietnicy zrezygnować.

- *Utarła się opinia, że politycy PiS, a zwłaszcza prezes tej partii, są głusi na wszelkie argumenty. Z tego, co pan mówi, wynika jednak, że głos rozsądku do rządzących dociera?*

- Nie byłem pewien, czy dotrze. W gruncie rzeczy, muszę to przyznać, wszystko zależało od decyzji Jarosława Kaczyńskiego. Dużą pozytywną rolę w przekonaniu go odegrali też prezesi NBP: zarówno poprzedni, Marek Belka, jak i obecny, Adam Głapiński. Oni również byli przekonani, że przewalutowanie kredytów frankowych po kursach początkowych jest potencjalnie bardzo niebezpieczne. Silnych sygnałów ostrzegawczych kierowanych do głównych decydentów politycznych było dużo i płynęły one nie tylko z jednego kierunku. Zależało mi też, żeby prezydent nie naciskał na rząd w tej sprawie. I tutaj rzeczywiście powstała wyjątkowa sytuacja: zgodzono się na zmianę stanowiska, tym bardziej że pożyczający we frankach to osoby w znacznie lepszej sytuacji finansowej niż posiadacze kredytów złotych. W tej chwili jest zagrożonych tylko około trzy procent kredytów frankowych, na razie ich obsługa przebiega dobrze. Ostatnie osłabienie franka również bardzo pomaga frankowiczom i mniejsza presję z ich strony. Jednak odsetek gospodarstw domowych, które sporo pożyczły we frankach i mogą się znaleźć, albo już znajdują się w trudnej sytuacji, jest niewielki. Nie jest to więc duży problem społeczny, można ewentualnie pomyśleć o jakiejś formie pomocy skierowanej do osób, których na spłatę tych kredytów rzeczywiście nie stać.

- *Zwiększenie kwoty wolnej od podatku miało dotyczyć wszystkich Polaków osiągających dochody. Tego zobowiązania i prezydent, i rząd także nie zrealizowali.*

- Tak, z tej obietnicy PiS się wycofał. Też nalegałem, żeby tak zrobić albo wprowadzać podwyższanie kwoty wolnej od podatku stopniowo i zacząć przede wszystkim od osób mało zarabiających. Te propozycje również znalazły akceptację ministrów finansów, zarówno poprzedniego, Pawła Szałamachy, jak i obecnego, Mateusza Morawieckiego, a przede wszystkim kierownictwa politycznego PiS,

czyli Jarosława Kaczyńskiego. Ta partia generalnie bardziej zabiega o standard życia ludzi biedniejszych, więc jej polityków przekonała informacja, że podwyższenie kwoty wolnej od podatku dla osób o najniższych dochodach będzie znaczne – do 8 tysięcy złotych – czyli zgodne z obietnicami. Ponadto ta decyzja, jak mówiłem, oznaczała praktycznie zerowe obciążenie dla budżetu państwa. Obok zaniechania pomocy frankowiczom była najważniejszą inicjatywą z punktu widzenia stabilności finansów publicznych. Te dwa odstępstwa PiS od własnych zapowiedzi zmieniały sytuację oraz oceny polityki finansowej rządu dokonywane przez ekonomistów i agencje ratingowe.

- *Kłopoty z budżetem miały się pojawić już po wprowadzeniu w życie programu 500+. Podobno uniknęliśmy ich dzięki dochodom (9,5 miliarda złotych) z aukcji na szerokopasmowy Internet oraz zyskom NBP.*

- Rozmawiamy o programie wyborczym Prawa i Sprawiedliwości, który wzbudził tyle niepokoju ze strony ekonomistów. Jeżeli rząd wycofuje się z dwóch istotnych i bardzo kosztownych zapowiedzi, ponadto przesuwając obniżenie wieku emerytalnego o dwa lata, to automatycznie zagrożenie dla finansów publicznych jest niewielkie, pochodzi tylko z programu 500+. Gdyby wszystkie obietnice zrealizowano, kosztowałyby to budżet, jak obliczaliśmy, 80, a może nawet 100 miliardów złotych. Program 500+ pochłania rocznie 25 miliardów – to zaledwie jedna czwarta ogólnego zagrożenia. Ponadto pojawiły się dodatkowe jednorazowe dochody, o których pan wspominał, w tym dwa transfery z NBP. W roku bieżącym było to 8,7 miliarda złotych, podobna kwota trafiła do budżetu z banku centralnego w roku poprzednim. Gdy dodamy do tego dochód ze sprzedaży uprawnień do szerokopasmowego Internetu wychodzi około 26 miliardów złotych. To dodatkowe pieniądze, o jakich nie mówiliśmy podczas kampanii wyborczej, ale to one praktycznie finansowały dotąd program 500+. Sytuacja zacznie się komplikować, kiedy tych nadzwyczajnych wpływów do budżetu nie będzie.

- *Rząd i politycy PiS chwalą się, że dobra sytuacja budżetu jest efektem uszczelnienia systemu podatkowego. Ministerstwo Finansów podało nawet, że w 2008 roku wpływy z VAT wyniosły 56 miliardów złotych, a w roku 2016 – 94 miliardy. Zacieśnienie systemu fiskalnego rzeczywiście uratuje budżet w przyszłych latach?*

- W tym roku efekty zacieśnienia systemu podatkowego miały wynieść 10 miliardów zło-

tych. Znamy już projekt budżetu na rok przyszły i w tym dokumencie mówi się o przewidywanym wykonaniu budżetu w 2017 roku. Ministerstwo Finansów przewiduje, że w roku bieżącym dodatkowe wpływy z uszczelnienia systemu fiskalnego osiągną 18 miliardów złotych.

- *Czyli będą wyższe od planowanych...*

- Istotnie, do budżetu wpłynie nie 10, a być może 18 miliardów złotych, ale nie przewiduje się dalszego wzrostu efektów uszczelnienia systemu podatkowego w roku przyszłym. Inaczej mówiąc, wzrost wpływów z podatku VAT w 2018 roku ma być mniej więcej taki, jak wzrost nominalnego PKB. W nieskończoność nie da się tych dochodów podwyższać, mogą one jedynie rosnąć proporcjonalnie do wydatków firm i gospodarstw domowych. Tymczasem w okresie wyborczym efekty uszczelnienia VAT szacowano w granicach 50-60 miliardów złotych rocznie. Jak na razie, kształtują się one w pobliżu 20 miliardów i nie zanoszą na znaczący wzrost tej kwoty w przyszłości. Poza tym pojawiły się problemy związane z uszczelnieniem systemu podatkowego, polegające na tym, że znacznie wzrosła liczba kontroli i właściwie zaczęto traktować wszystkich przedsiębiorców jako potencjalnych złodziei.

- *Nadmierny fiskalizm, o czym rządzący zdają się zapominać, nie sprzyja gospodarce wolnorynkowej.*

- Dlatego chodzi o uszczelnienie podatku VAT w sposób wyważony, gdyż jeśli się z nim pójdzie za daleko, administracyjnie bądź w drodze zmian prawa karnego, pojawią się mocno negatywne tego skutki. Przykładowo, przedsiębiorcy są poważnie zaniepokojeni propozycjami obecnego ministra sprawiedliwości, że wystarczy podejrzenie jakiegokolwiek nieprawidłowości ze strony izb skarbowych, żeby przejąć daną firmę, zawiesić prawa właścicieli i wprowadzić zarząd komisaryczny. Proponując to rozwiązanie twierdzą, że w przeciwnym wypadku trudno im będzie zebrać dowody świadczące, iż przedsiębiorstwo coś ukrywało. Taka argumentacja jest szokująca dla właścicieli firm prywatnych.

- *Przedsiębiorcy, z którymi rozmawiałem, też mówią, że teraz nastąpi lepsze czasy dla firm państwowych, nie prywatnych. Potwierdzeniem tej opinii jest chociażby to, że nadspodziewanie dobrze radzą sobie przedsiębiorstwa państwowe notowane na giełdzie i wchodzące w skład indeksu WIG20. Niedawno Jastrzębska Spółka Węglowa przynosiła ogromne straty, teraz ma zyski. Lotos, wyceniany parę lat temu przez jed-*

*nego z analityków na zero złotych, płaci dziś złotówkę dywidendy. Wielu ludzi nie potrafi tego zrozumieć – w powszechnym przekonaniu PiS nie ma tak dobrych kadr zarządzających, jakie miała PO.*

- W przemyśle węglowym mamy następującą sytuację: kopalnie sprzedają węgiel państwowym elektrowniom, więc rząd ma możliwość wpływania na dochody przedsiębiorstw górniczych poprzez zarządy elektrowni, które mogą podwyższać ceny kupowanego węgla. Obecnie spółki energetyczne oraz budżet poprzez składki emerytalne współfinansują wydobycie tego surowca. Ostatecznie jednak za to dodatkowe finansowanie kopalń zapłaci konsument energii elektrycznej, czyli gospodarstwa domowe i przedsiębiorstwa. Jeżeli wzrosną koszty produkcji energii elektrycznej, elektrownie będą mieć podstawy, by proponować wyższe ceny energii. A odpowiedni państwowy urząd do spraw cen będzie je zatwierdzał. W naszej rozmowie dotykamy ważkiego problemu: niektóre działania rządu Beaty Szydło zaczynają być groźne.

- *Dla kogo?*

- Dla przedsiębiorców i gospodarki. To zagrożenie związane jest przede wszystkim z obniżeniem wieku emerytalnego.

- *Jeszcze półtora roku temu w jednym z wywiadów przewidywał pan, że PiS tego pomysłu nie wprowadzi w życie.*

- Nie tyle przewidywałem, ile miałem nadzieję, że również w tej kwestii dojdzie do zmiany w stosunku do partyjnego programu. O tym także rozmawiałem z prezydentem i innymi przedstawicielami PiS. Było kilku ministrów – myślę zwłaszcza o Pawle Szałamase, Mateuszu Morawieckim i Jarosławie Gowinie – niechęcych obniżania wieku emerytalnego. Widocznie jednak Jarosław Kaczyński uznał, że polityczne koszty wycofania się z tej obietnicy byłyby dla PiS zbyt duże i zażądał jej wprowadzenia. Wiemy, jaka będzie tego cena: sam rząd mówi, że od początku obowiązywania ustawy do końca przyszłego roku zatrudnienie z racji obniżonego wieku emerytalnego spadnie o 400 tysięcy osób. Przypomnę, że w Polsce pracuje około 16 milionów ludzi. 400 tysięcy to 2,5 proc. wszystkich pracujących – a więc bardzo dużo. Ponadto w latach następnych z tego powodu prawdopodobnie będą następowały dalsze obniżki liczby zatrudnionych. Przewiduje się, że w ciągu najbliższych pięciu-ośmiu lat zatrudnienie spadnie o 600 tysięcy, a w dłuższej perspektywie może nawet o milion osób.

To stwarza duże ryzyko dla wzrostu gospodarczego i finansów publicznych. Wiadomo: mniej zatrudnionych to mniejsze składki emerytalne wpływające do ZUS. Z drugiej strony, będziemy mieli więcej emerytów, a to oznacza wyższe wydatki. Według szacunków, koszt obniżonych emerytur ma w tym roku wynieść około dwóch miliardów, w przyszłym roku zwiększy się do około dziesięciu miliardów, a potem będzie sukcesywnie rósł do dwudziestu, a nawet więcej miliardów złotych rocznie. Oprócz wspomnianych wydatków pojawi się dodatkowy koszt tej reformy w postaci niższego przyrostu zatrudnienia i wolniejszego tempa wzrostu PKB.

– *Widocznie rządzący liczą na większą imigrację z Ukrainy i innych państw byłego ZSRR.*

– Jeżeli tak jest, to skoro już zdecydowali się na obniżenie wieku emerytalnego, powinni równocześnie zaproponować jakiś program zwiększający napływ Ukraińców i innych imigrantów do Polski, ułatwiający im nabywanie prawa do pracy i pobytu. Tego nie ma. Ponadto jest drugi równie poważny obszar gospodarki, gdzie już występują, a wkrótce mogą wystąpić znacznie poważniejsze problemy – to inwestycje. W latach 2009–2010 nastąpił silny wzrost inwestycji publicznych, finansowanych mniej więcej w połowie środkami unijnymi. Osiągnęły one nawet ponad pięcioprocentowy poziom PKB. W zeszłym roku mieliśmy gwałtowny spadek inwestycji publicznych – aż o ponad 30 procent! Rezultatem tego było obniżenie tempa wzrostu gospodarczego w 2016 roku do 2,6 proc. W tym roku oczekiwaliśmy odbicia w inwestycjach publicznych i stąd m.in. brały się prognozy czteroprocentowego tempa wzrostu PKB. Na razie nie widzę zauważalnego wzrostu tych inwestycji, wiele wskazuje na to, że mimo ich znacznego wzrostu w drugiej połowie roku, wszystkie inwestycje mogą być w bieżącym roku na takim poziomie, jak dwa lata temu.

– *Rząd zapowiada kilka wielkich inwestycji: np. budowę Centralnego Portu Lotniczego, przekop Mierzei Wiślanej...*

– Należy zauważyć, że obecny 17-procentowy udział inwestycji ogółem w PKB, a wcześniej średnio wynosił on nawet 20 proc., to wartość około 330 miliardów złotych rocznie. Gdy zaczniemy budować wielki port lotniczy, to prawdopodobnie ta inwestycja będzie rozłożona na kilka lat. Mogłaby ona kosztować 5–8 miliardów rocznie, czyli bardzo niewielką część ogólnej sumy wszystkich inwestycji. Program Mateusza Morawieckiego zakładał wzrost udziału inwestycji w PKB nawet do 25 proc.

Z 17 do 25 to wzrost o osiem punktów procentowych, czyli o około 150 miliardów złotych rocznie!

– *Czy to realne?*

– Moim zdaniem, to fantazjowanie. Poza tym wicepremier Morawiecki chce, żeby ten wzrost nastąpił raczej w obszarze inwestycji krajowych niż zagranicznych. Aby rodzimych inwestycji przybywało, musiałyby również wzrosnąć krajowe oszczędności. Natomiast program PiS akcentował przede wszystkim wzrost konsumpcji, o czym świadczy program 500+, podwyższenie kwoty wolnej od podatku, obniżenie wieku emerytalnego i pomoc dla frankowiczów. I rzeczywiście, pomimo wycofania się z dwóch ważnych obietnic, konsumpcja ma się dobrze, ale udział inwestycji w dochodzie narodowym w ciągu ostatnich dwóch lat maleje. W roku 2015 wynosił 18, a teraz już tylko około 17 procent, zamiast rosnąć do zapowiadanych ponad 20 procent.

– *Wicepremier Morawiecki zdaje się dostrzegać ten problem, dlatego poszukuje inwestorów na całym świecie. Niedawno podał informację, że do Polski wejdzie J.P. Morgan, jeden z największych holdingów finansowych na świecie.*

– Takie inwestycje, jak Mercedesa czy J.P. Morgan, nadają się jedynie do celów propagandowych. Rozmawiamy nie o pojedynczych przedsiębiorstwach, inwestujących po 1–2 dwa miliardy euro, czyli po kilka miliardów złotych, tylko o wielu dziesiątkach miliardów złotych. Zauważmy, że jeden procent PKB to około 20 miliardów złotych. Jeżeli zatem chcemy zwiększyć udział inwestycji w dochodzie narodowym o np. pięć punktów procentowych, to inwestycje krajowe i zagraniczne musiałyby wzrosnąć o 100 miliardów złotych. Do dzisiaj rząd nie ma programu realizacyjnego w tym obszarze gospodarki, nie przedstawił planu, jak chce osiągnąć tak znaczny wzrost udziału inwestycji w dochodzie narodowym. Poza tym realizuje takie decyzje, jak mocne uszczelnienie systemu podatkowego, zapewniające pewną poprawę w finansach publicznych, nie jakąś wielką, choć znaczną, ale mogącą zniechęcać przedsiębiorców do inwestycji.

– *O inwestycjach, innowacyjnej gospodarce itp. mówi Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Jak ją pan ocenia, bo opinie ekonomistów na jej temat są podzielone?*

– Wielokrotnie miałem okazję omawiać ten program. Po raz pierwszy w kwietniu czy marcu ubiegłego roku, kiedy prezydent Duda poprosił mnie o skomentowanie tej strategii na posiedzeniu Narodowej Rady Rozwoju. W tym posiedzeniu wzięli udział Mateusz Morawiecki

i kilku ministrów obecnego rządu. Kilka miesięcy później zorganizowano wielką konferencję w Ministerstwie Rozwoju i szefowie tego resortu zaprosili mnie do dyskusji panelowej z prośbą o skomentowanie rozszerzonej wersji strategii, jaka się wtedy pojawiła. Także ona nie wyjaśnia, w jaki sposób udział inwestycji w dochodzie narodowym ma wzrosnąć do tak wysokich poziomów, o jakich się mówi. We wszystkich wystąpieniach – nie tylko tych dwóch, przecież udzielałem dużo wywiadów w mediach – podkreślałem, że wicepremier Morawiecki słusznie mówi o potrzebie, a nawet wręcz o konieczności podniesienia udziału inwestycji w dochodzie narodowym, tylko nie przedstawia mających do tego doprowadzić instrumentów. Nie ma takiego programu, ponadto w wystąpieniach publicznych o inwestycjach zagranicznych mówi w sposób trochę niejasny.

– *Jest zarówno za, jak i przeciw?*

– Tak to wygląda: formalnie niby zależy mu na tym, żeby inwestycje były. Z drugiej strony mówi jednak o tym, że w przeszłości niemal cały rozwój gospodarczy w okresie transformacji polegał – jego zdaniem – na inwestycjach zagranicznych. I on chciałby tę sytuację zmienić. A to oznacza, że przybędzie inwestycji krajowych kosztem inwestycji zagranicznych. Jeśli tak ma się stać, należałoby pokazać, w jaki sposób zamierza się zwiększać w tak znacznym stopniu oszczędności krajowe. W Polsce są one wyjątkowo niskie, zarówno w porównaniu z innymi krajami UE, jak i takimi państwami jak Chiny czy Korea Południowa, gdzie w przeszłości wahały się między 35 a 50 procent PKB. W Polsce stanowią one około 15 procent PKB. W praktyce wszystko rozbija się o brak finansowania zwiększonej puli inwestycji na skalę, o jaką nam chodzi. Mateusz Morawiecki po prostu milczy na ten temat. Może dlatego, że zdaje sobie sprawę, iż program rządu Beaty Szydło już od kampanii wyborczej był skoncentrowany na wzroście udziału w dochodzie narodowym konsumpcji, a nie inwestycji.

– *Politycy PiS, mówiąc, że liczą na rodzimy kapitał, zwykle powołują się na przykład PZU, który przejmował inne firmy.*

– Ale my rozmawiamy o zupełnie innej skali. W grę wchodzi co najmniej dodatkowe 100 miliardów złotych rocznie na inwestycje. Tymczasem PZU wydało spore kwoty – razem z PKO BP i Polskim Funduszem Rozwoju – na zakup Pekao SA i Alior Banku. To były zmiany własnościowe, a nie inwestycyjne, bo nie zmienił się zasób kapitału trwałego w gospodarce.

Pieniądze, jakie znajdują się w dyspozycji polskich przedsiębiorstw państwowych, są ponadto zbyt małe, żeby podnieść znacząco inwestycje krajowe. Mimo to rząd chce zwiększyć udział inwestycji sektora państwowego, co może stanowić kolejne zagrożenie dla gospodarki.

– *Na czym ono polega?*

– W przedsiębiorstwach państwowych w ostatnich latach rzeczywiście mamy spore inwestycje, jak na te firmy, ale koszt jednego miejsca pracy jest w nich kilka razy wyższy niż w sektorze prywatnym. Mają też niższą rentowność. Nie mówię o PKO BP i PZU, bo te firmy wykorzystują dominującą pozycję na rynku, by mieć wysoką zyskowność, ale przede wszystkim o sektorze górniczym. Jest poważny problem, co z nim zrobić? Niedawno analitycy think tanku WiseEuropa dokonali wyceny wszystkich dotacji państwa do górnictwa i energetyki węglowej od roku 1990 do roku 2016. Okazuje się, że ten transfer wyniósł 30 miliardów złotych (w roku 2016 było to 9,2 miliarda zł). Obejmował m.in. finansowanie emerytur osób zatrudnionych w górnictwie. Finansują je nie kopalnie i górnicy, tylko budżet państwa. Jeśli do tego doliczyć koszty pośrednie, spowodowane chorobami na tle zanieczyszczenia środowiska na skali kraju (w roku 2016 wyniosły one według tych analityków 31 miliardów złotych), to płacony przez społeczeństwo ukryty rachunek za węgiel sięga już blisko 2 biliony złotych, czyli na obywatela wynosił dotąd blisko 2 tysiące złotych rocznie. Były lata, kiedy górnictwo było zyskowne, przynajmniej na papierze, ale wtedy nie inwestowało tak, jak powinno, więc teraz są problemy i jedynym wyjściem wydaje się prywatyzacja oraz silny wzrost ceny węgla. Tymczasem rząd mówi o otwarciu i zdecydowanie: nie będzie dalszych znaczących prywatyzacji w Polsce, raczej będzie się zabiegało o tzw. repolonizację niektórych firm, a ukryte dotacje raczej wzrosną, niż będą ograniczane.

– *Sprywatyzowano kilka kopalń, m.in. polubelską Bogdankę, i dają one sobie nieźle radę. To powinno rządzących skłaniać do tego rozwiązania...*

– Ale byłoby to niezgodne z etatystyczną doktryną PiS. Jarosław Kaczyński często podkreśla, że różni się od Eugeniusza Kwiatkowskiego, ministra przemysłu, a potem ministra skarbu w II Rzeczypospolitej, ponieważ tamten był etatystą, on zaś jest zwolennikiem metod rynkowych. Jeśli chodzi o sektor węglowy, na pewno tak nie jest, choć ta gałąź gospodarki nas, podatników, sporo kosztuje.

– We wspomnianym tekście drukowanym w „RzeczypoŹspolitej” prezentuje pan dane Międzynarodowego Funduszu Walutowego, według których w 1989 roku poziom PKB w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosił 30,1 procent poziomu USA, a w roku 2016 już 48,4 procent. Jesteśmy więc tzw. krajem doganiającym, ale może to się zmienić. Na podstawie zagrożeń, jakie pan wcześniej wymienił, kreśli pan trzy warianty rozwoju Polski w najbliższych latach. Pierwszy z nich zakłada dalszy rozwój gospodarczy Polski i doganianie państw wysoko rozwiniętych, przy utrzymaniu inwestycji krajowych na poziomie około 20 procent PKB. Wariant drugi przewiduje nieznaczne odchylenia w dół w stosunku do optymistycznego wariantu pierwszego. Największe szanse realizacji ma według pana jednak wariant trzeci – negatywny.

– Zakładam w nim znaczne, choć stopniowe, zmniejszanie tempa wzrostu PKB: w ciągu najbliższych 10-15 lat obniży się ono do około 2 procent. Będzie więc wynosić niewiele więcej niż tempo wzrostu w takich krajach, jak Niemcy czy inne państwa wysoko rozwinięte. Gdyby do tego doszło, oznaczałoby to niemal zahamowanie procesu doganiania tych krajów przez Polskę. Dojść może do tego z dwóch powodów, o jakich mówiliśmy: niższego zatrudnienia oraz niskiego poziomu inwestycji w relacji do PKB. Nakładają się na to kwestie demograficzne, to znaczy zmniejszanie się podaży pracy spowodowane spadkiem liczby ludności.

– To zjawisko ma ograniczyć program 500+, chociaż jego ewentualne korzystne efekty na rynku pracy będą odczuwalne dopiero za około dwadzieścia lat.

– Program 500+ według założeń rządu zwiększy populację Polaków o około 30 tysięcy rocznie. Natomiast żeby utrzymać liczbę ludności i zatrudnienia na stabilnym poziomie, potrzebujemy około 150 tysięcy dodatkowych urodzeń rocznie, więc od początku było niemal pewne, że 500+ niewiele zmieni, jeśli chodzi o demografię. Ale tu dochodzą jeszcze dwie kolejne rzeczy, o których także mówiłem, mianowicie zmniejszenie zatrudnienia w wyniku wzrostu liczby osób przechodzących wcześniej na emeryturę oraz kontynuacja niskich inwestycji krajowych. Do tego należy dodać problemy na linii Polska-UE, mogące zniechęcać inwestorów zagranicznych, oraz fakt, że kolejny unijny budżet będzie zupełnie inny niż obecny i będzie wpływał na kondycję Polski po roku 2022. Wtedy prawdopodobnie dopływ wspólnotowych środków do budżetu będzie niewiel-

ki i nie uda się nimi współfinansować ważnych programów inwestycyjnych, szczególnie w obrębie infrastruktury. Dopływ oszczędności zagranicznych do Polski także może się zmniejszyć. Wówczas rezultatem może być nawet dalszy spadek udziału inwestycji w dochodzie narodowym.

– Przedstawia pan również wariant optymistyczny. Dlaczego nie widzi pan szans, by się zrealizował?

– Wydaje mi się to mało prawdopodobne w wypadku kontynuacji rządów przez PiS. Zresztą Jarosław Kaczyński wyraźnie powiedział: dla niego są ważne cele o charakterze społecznym i politycznym, jest nawet gotów zapłacić za ich realizację spowolnieniem tempa wzrostu gospodarczego o jeden punkt procentowy rocznie. To bardzo przejrzyste stanowisko. A cele społeczne, o jakich mówi prezes PiS, to właśnie nacisk na konsumpcję, a nie na inwestycje, a także podejrzliwość wobec sektora prywatnego i przedsiębiorców, zarówno krajowych, jak i zagranicznych. Ponadto mamy konfrontację Polski z krajami UE, odżegnywanie się od wejścia naszego kraju do strefy euro i przesuwanie terminu ewentualnego przyjęcia wspólnej waluty na bardzo odległy czas. Tych znaków zapytania jest dużo.

– Polityka prokonsumpcyjna ma zapewnić PiS rządzenie przez kolejne cztery lata. Gdy tak się stanie, ryzyko spełnienia się wariantu pesymistycznego wzrosnie?

– Jak najbardziej. To dobra strategia, jeśli chce się nadal rządzić. Przecież w końcu kryzys grecki, z jakim mieliśmy do czynienia od 2008 roku niemal do teraz, nastąpił po prawie dziesięcioletnim okresie szybkiego wzrostu gospodarczego. Tylko że ten wzrost był finansowany w dużym stopniu przez rosnący dług zagraniczny, publiczny i prywatny. Jeśli w Polsce będzie tylko umiarkowany wzrost zadłużenia w relacji do PKB i powolny wzrost gospodarczy, to nie będzie wielkiego kryzysu. Po prostu przestaniemy doganiać takie kraje jak Niemcy i zaczniesz się spełniać prognoza wpadnięcia w pułapkę średniego dochodu. Zarówno prezydent Andrzej Duda, jak i Mateusz Morawiecki mówili i mówią, że zależy im, żeby tak się nie stało, ale logika programu politycznego rządu, a w szczególności Jarosława Kaczyńskiego, zmierza dokładnie w kierunku realizacji tej prognozy.

– Niestety, świadomość zagrożenia popadnięciem w pułapkę średniego dochodu nie dociera do rządzących w takim stopniu, by zmienili prio-

rytety polityki gospodarczej. Ale ten tok myślenia nie dociera też do tzw. zwykłych Polaków. Większość uważa, że gospodarka ma się dobrze, a obawy ekonomistów mogą się nie sprawdzić, jak te przewidujące niezrealizowanie budżetu w 2016 roku.

– Pan i ja pamiętamy pierwszą połowę lat siedemdziesiątych. Przecież wtedy też był wielki narodowy entuzjazm i ogromne zadowolenie z polityki gospodarczej Edwarda Gierka. Rozwój inwestycji był pokrywany w dużym stopniu kredytami zagranicznymi. Pierwszy sygnał ostrzegawczy pojawił się w 1976 roku, kiedy rząd Jaroszewicza chciał wprowadzić duże podwyżki cen. Doszło do protestów społecznych i trzeba było się z podwyżek wycofać. Musiały upłynąć kolejne cztery lata napięć i pełzającego kryzysu, aż w końcu doszło do otwartego kryzysu politycznego w roku 1980 i spadku PKB w latach 1980–1981 o około 20 procent. Ale nawet wówczas, sądząc z wypowiedzi przywódców „Solidarności”, przeważająca liczba ludzi w Polsce niezbyt rozumiała mechanizm, jaki do tego kryzysu doprowadził. Teraz też większość Polaków nie ma odpowiedniej wiedzy i w dużym stopniu polega na opiniach popieranej przez siebie elity politycznej i jej przywódców. Duża część ludności w Polsce wierzy w to, co mówią politycy PiS. W związku z tym istnieje duże prawdopodobieństwo, że będą oni powielać te sądy o gospodarce w ciągu najbliższych paru lat, a opozycji będzie bardzo trudno przekonać rodaków, że jest inaczej, skoro w tej chwili sytuacja materialna znacznie się poprawia – nie tylko ze względu na program 500+, ale także z uwagi na szybko rosnące płace i niskie bezrobocie. Obniżenie wieku emerytalnego, prowadzące do silnego spadku podaży na rynku pracy, jest dla pracujących korzystne. Pozwala im mieć nadzieję, że płace będą rosnać szybciej – i tak już się dzieje. Kobiety, przechodzące teraz na emeryturę, dopiero po pewnym czasie zorientują się, że ich emerytury są niskie lub bardzo niskie. Stąd m.in. zaczyna się mówić o emeryturze obywatelskiej. Zwykle stanowi ona bardzo niewielką część średniej płacy, więc próba wprowadzenia takich emerytur oznaczałaby ogromny koszt polityczny dla rządzących. Jarosław Kaczyński dobrze to rozumie, dlatego – sądzę – zablokuje te pomysły. A to oznacza przesunięcie problemu na lata przyszłe. A za dziesięć lat obecny prezes PiS nie będzie już rządził z innych powodów, w związku z tym jego nie interesuje, co

będzie w roku 2028, jemu zależy, by rządzić „tu i teraz”. Kosztem wzrostu gospodarczego, a nawet ryzyka destabilizacji państwa, pod jednym wszakże warunkiem: ta destabilizacja będzie stopniowa i nie dojdzie zbyt szybko do wielkiego kryzysu.

– Zapłacimy za obecną politykę gospodarczą podobną cenę, jak kiedyś za politykę Edwarda Gierka?

– Wszystko zależy od konkretnych działań PiS. Jak dotąd rząd uniknął szybkiego kryzysu dzięki wycofaniu się z kilku ważnych obietnic wyborczych. Teraz też zabiega, m.in. przez uszczelnianie systemu fiskalnego, by nie doszło do głębszej zapaści finansów publicznych. Podejmuje jednak tylko działania osłabiające tempo narastania poważnych problemów. I nie jest wykluczone, że będzie tak robił nadal. Lecz w ten sposób rządzący tylko przedłużają okres pogarszania się sytuacji.

– Kryzys niechybnie nastąpi?

– Kryzys nie jest nieunikniony, szczególnie jeśli dojdzie do znaczącej zmiany polityki. A to jest możliwe nawet w wypadku PiS. Na przykład dojdzie do rozpadu tej partii na część antyeuropejską i proetatystyczną, mocno lewicową w sferze ekonomicznej, oraz odłam reprezentujący poglądy podobne do poglądów niebędącego już w PiS Kazimierza Ujazdowskiego. Gdyby do głosu doszli ludzie jego pokroju albo więcej do powiedzenia mieli nawet tacy ludzie, jak Andrzej Duda czy Mateusz Morawiecki – czyli to bardziej umiarkowane skrzydło PiS, nierezygnujące z logicznego myślenia i dbające bardziej niż Jarosław Kaczyński o długofalowy interes kraju – to wtedy Polska niekoniecznie musiałaby zmierzać w kierunku dużych problemów.

– Prezydent zaprezentował właśnie swój projekt reform sądownictwa. Jeśli nie spodobają się one kierownictwu PiS, może to być, zdaniem niektórych politologów, początek rozpadu tej partii na dwa obozy o jakich pan mówi – prezydencki i rządowy.

– Być może tak się stanie, być może nie, trudno przewidzieć. Prezydent Andrzej Duda zdecydowanie twierdzi, że jest nadal częścią ruchu, jakim jest PiS, i myśli w podobnych kategoriach. Oczywiście to nie całkiem prawda, bo jednak reprezentuje znacząco inny sposób myślenia niż Jarosław Kaczyński, szczególnie w polityce zagranicznej. Jakie będą szanse tego skrzydła, to się okaże. Wiele bowiem, także w gospodarce, zależy od tego, jak długo jeszcze tacy ludzie, jak Jarosław Kaczyński, Beata Szydło, Zbigniew



Ziobro czy Antoni Macierewicz, będą rządzić krajem. Dlatego nie jestem optymistą. W dalszym ciągu nie wiemy, jak rozwinie się sytuacja polityczna w Polsce, a to od niej zależy będzie polityka gospodarcza. W związku z tym nie można być niczego pewnym – wszystkie trzy warianty rozwoju sytuacji, jakie przedstawiłem, są możliwe. W tej chwili zmierzamy jednak w kierunku wariantu pesymistycznego. Być może dojdzie do opamiętania i zmian w samym PiS, a także wśród wyborców. To od nich bowiem wszystko zależy. Podczas wyborów za dwa lata, a tym bardziej za lat sześć, mogą oni sprawić, że będziemy mieli inną, lepszą dla kraju scenę polityczną.

*Rozmawiał Stanisław Lejda*

Stanisław Gomułka – w latach 1970–2005 wykładowca London School of Economics and Political Sciences, University of London. Konsultant m.in. OECD, MFW, Komisji Europejskiej ds. Europy Wschodniej. Wiceminister finansów w rządzie PO-PSL (zrezygnował z tej funkcji, gdy gabinet Donalda Tuska wycofał się z wprowadzenia reformy finansów publicznych). Główny ekonomista BCC oraz minister finansów Gospodarczego Gabinetu Cieni tej organizacji. Członek Narodowej Rady Rozwoju przy prezydencie Lechu Kaczyńskim oraz Andrzeju Dudzie, członek korespondent Polskiej Akademii Nauk.

